

FURUTECH

Audio Rebels Pure Power 6E Review
2014 February - Poland



FURUTECH PURE POWER 6



Opinia 1

W przypadku większości recenzji metodologia postępowania jest dość schematyczna, niemal zagrożona rutyną. Dostajemy do przetestowania nowe urządzenie, bądź coś, co na powyższe miano ze względu na swoją funkcję, lub budowę nie zasługuje. Oglądamy je, badamy organoleptycznie, przez co uzyskujemy tzw. pierwsze wrażenie, które staramy się jak najwierniej zapamiętać, zapisać i bardzo często właśnie na bazie tego doświadczenia zdobywać kolejne. Następnie wpinamy je w nasz tor audio i pozwalając podczas okresu akomodacyjnego osiągnąć optymalne parametry pracy. Jednocześnie cały czas je obserwujemy a lista poczynionych obserwacji powoli się wydłuża – przyda się później. Po tygodniu, bądź jeśli okoliczności na to

pozwalają nawet dwóch, a czasem i jeszcze dłuższym okresie, kiedy wszystko, co w danych warunkach było do osiągnięcia uchwyciliśmy, lub przynajmniej mamy takie (czasem mylne) wrażenie przychodzi czas na przekazanie owego „czegoś” dalej, lub odesłanie do producenta/dystrybutora. Czyli wspomniane „coś” definitywnie opuszcza nasz system. Moment opuszczenia raz jest mniej, a raz bardziej traumatycznym przeżyciem, choć bywają też chwile, że powrót do własnego – dyżurnego odpowiednika testowanego wcześniej „czegoś” jest niczym powrót do domu po wyczerpującej służbowej podróży.

Tym razem miało być inaczej, choć nic nadchodzącego kataklizmu nie zapowiadało. W końcu zdążyliśmy się już przyzwyczaić i tak na marginesie mówiąc uodpornić, na żarliwe zapewnienia dystrybutorów, o tym, że to właśnie teraz doznamy objawienia, opadu szczęk i dostąpimy zaszczytu osiągnięcia stanu pełni szczęścia i audiofilskiej nirwany.

Dodatkowym elementem podnoszącym próg oczekiwań i naszych, już i tak (podobno) nazbyt wygórowanych wymagań była dla ludzi „normalnych” oraz, o dziwo sporej części audiofilów wręcz absurdalna cena. Piszę to z pełną świadomością, gdyż do testów dotarła do nas pozbawiona jakichkolwiek zabezpieczeń listwa sieciowa dla niepoznaki określana mianem terminala zasilającego za bagatela 36 900 PLN. Panie i Panowie – oto Furutech Pure Power 6!



OK., jeśli czytają Państwo te słowa oznacza to, że nie należą do grupy osób, które po lekturze ostatniego akapitu doznali apopleksji, histerycznego ataku śmiechu, bądź utwierdzili się w przekonaniu, że audiofilizm należy leczyć w placówkach medycznych o charakterze zamkniętym bez dostępu zarówno do multimediiów, jak i, a może raczej przede wszystkim, do bankowości internetowej i kart kredytowych.

Krótko mówiąc serdecznie witamy w gronie tych, którzy wolą najpierw sami posłuchać a dopiero później wygłaszać opinie.

Tytułowy Furutech, którego w dalszej części pozwolę nazywać w skrócie FPP6, jest przepięknie obrobionym blokiem lotniczego aluminium, którego prosta a zarazem elegancka bryła nie zdradza budzącej uznanie 10 kg wagi. Nie ma się jednak czemu dziwić, gdyż we wspomnianym monolicie wydrążono jedynie niewielkie komory dla trzech par rodowanych gniazd, oczywiście Furutecha, FI-E30 (R) typu Schuko, gniazda zasilającego IEC FI-09, oraz centralną wypełnioną czarnym granulatem GC-303 redukującym fale elektromagnetyczne powstające wewnątrz korpusu. Całe okablowanie wykonano ze srebrzonej miedzianej skrętki w izolacji z PTFE a gniazda zamontowano w taki sposób, by maksymalnie zredukować ich ewentualne wibracje. Od strony czysto elektrycznej wypada też wspomnieć, iż uziemienie gniazd wyjściowych jest „pływające”, gdyż nie jest połączone bezpośrednio z głównym gniazdem zasilającym, lecz z obudową, z która też jest połączony przewód uziemiający gniazda IEC.

Ze względu na dość niekonwencjonalną topologię, wewnętrzne okablowanie i odseparowanie od siebie poszczególnych par gniazd pomimo nad wyraz kompaktowych gabarytów FPP6 w momencie wykorzystania wszystkich jego przyłączy staje się dość problematycznym pod względem ergonomii i zwykłej ustawności akcesorium. Z jednej strony nie sposób wymagać od jego posiadaczy, by wstydliwie chowali go gdzieś wśród płątaniny kabli za sprzętem, a z drugiej wystawianie na honorowym miejscu nawet najurodziwszego za przeproszeniem przedłużacza, z którego na cztery strony świata biegną najprzeróżniejsze przewody zasilające może wyprowadzić z równowagi nawet najspokojniejszą Panią Domu. Rozsądnym kompromisem wydaje się zatem takie wkomponowanie FPP6 w system, by ustawić go gdzieś pomiędzy swoimi drogocennymi urządzeniami i wykorzystać jedynie cztery (boczne) z sześciu dostępnych gniazd. Oczywiście zdają sobie sprawę, że to karygodne marnotrawstwo, lecz patrząc na to pod innym kontem zostawiamy sobie furtkę do łatwego podpinania (do gniazd frontowych) okazjonalnie używanych, bądź pojawiających się niejako na gościnnych występach urządzeń.

Warto też pamiętać o jednym, acz niezwykle istotnym drobiazgu. Tytułowy Furutech wyposażono w eleganckie, zintegrowane z kolumnowymi narożnikami kolce, które w przypadku pominięcia dedykowanych im podkładek z każdej powierzchni gotowe są w przysłowiowym mgnieniu oka zrobić jesień średniowiecza. Lepiej zatem zażywajmy farmaceutyki poprawiające pamięć i stosujmy podkładki.

Niejako uprzedzając fakty i „trochę” psując zabawę tym, którzy z wypiekami czekali na puentę, od razu, bez ogródek napiszę, że Roger Adamek (właściciel RCM) dostarczając na testy FPP6 zrobił nam straszną krzywdę. Dostarczył bowiem coś, na co na chwilę obecną pozwolić sobie nie możemy, a ponadto do czasu (w moim przypadku) skompletowania systemu za lekko licząc kilkaset tysięcy PLN pozostawienie go w torze zakrawałoby na skrajną głupotę. Sęk w tym, że czekając aż Furutech osiągnie temperaturę pokojową udało mi się w trybie istic ekspresowym wykonać sesję fotograficzną i wiedziałem, że od momentu wpięcia w tor do ostatniej chwili tuż przed oddaniem nic nie powinno zmusić mnie do powrotu do swojej dyżurnej listwy. Zastanawiają się Państwo czemu miałyby to stanowić jakikolwiek problem? Cóż, powód jest nad wyraz prozaiczny – człowiek nadspodziewanie szybko przyzwyczajają się do dobrego. Tak też było i w tym przypadku. Dysponując 300W, dzieloną amplifikacją Jeffa Rowland’a niejako od pierwszych chwil mogłem wyłapać i ocenić ewentualne ograniczenia dynamiki wprowadzane przez dodatkowy element w zasilaniu. Jednak zamiast tego doświadczyłem czegoś całkowicie przeciwnego – dynamika zamiast spaść osiągnęła poziom do tej pory znajdujący się daleko poza jej możliwościami a cały używany do testów system został wniesiony na wyżyny swoich możliwości. Efekt można było porównać do sytuacji, w której potężne końcówki próbujące zasilić pełnopasmowe, wielodrożne kolumny poprzez przewody głośnikowe o przekroju zbliżonym do włosa nagle i

niespodziewanie otrzymały adekwatne do przesyłanych prądów druty. Wszystkiego zrobiło się po prostu więcej, lecz nie poprzez ordynarne powiększenie gabarytów, lecz poprzez uzyskanie większej, naturalnej swobody i nieskrępowania. Poczynając od wręcz drastycznego progresu w kreowaniu właściwych poszczególnym nagraniom gabarytów sceny, poprzez konturowość i ostrość lokalizacji umiejscowionych na niej źródeł pozornych a na fakturze wypełniających wspomniane kontury tkanek skończywszy. Wrażenie było na tyle porażające, że porównania do umycia brudnego okna, bądź zaczerpnięcia rześkiego porannego powietrza wydawały się mało adekwatne do zaistniałej sytuacji. Skala zmian oscylowała gdzieś na poziomie przeprowadzki z szarego miejskiego centrum na alpejską grań z widokiem zapierającym dech w piersiach. Fenomenalny album Arne Domnerus'a „Antiphone Blues” nawet bez Furutecha potrafił już nie raz i nie dwa zachwycić, lecz właśnie po wpięciu FPP6 mogłem na własne uszy się przekonać ile informacji, szczególnie tych określających przestrzeń, w jakiej dokonano nagrania, do tej pory mi umykało. Czuję się tak, jakby idąc znaną niemalże na pamięć drogą odkryć jej ponadprzeciętne i urzekające piękno. Szokujące jednak w całej tej sytuacji było jednak to, że miałem świadomość, iż w Furutechu praktycznie nic nie ma a sprawdza się bez porównania lepiej niż charakteryzujące się zdecydowanie bardziej zaawansowaną budową wewnętrzną urządzenia w stylu niedawno testowanego [Reimyo ALS-777 Limited](#), czy też Gigawatta PC-3 SE EVO. Mocno zdeprimowany takim stanem rzeczy postanowiłem jednak znaleźć jakiś słaby punkt japońskiego rozgałęziacza. Przecież skoro teoretycznie jedynie redystrybuuje, rozdziela, co sam dostaje z przysłowiowej ściany, nie mając technicznych możliwości na uszlachetnienie, wygładzenie i dopieszczenie oferowanego przez swoje sześć gniazd prądu to i wszelkiej maści „brudy” powinno być słycać. Przygotowałem zatem odpowiednią playlistę i rozpocząłem prywatne polowanie na czarownice. W odtwarzaczu zagościła słynąca z laryngologiczno – foniatrycznych ciągot Anna Maria Jopek, potrafiąca zaskrzypieć bardziej przerażająco od zardzewiałej furtki Youn Sun Nah a nawet Barb Jungr o głosie szorstkim niczym kadłub porzuconej na mieliźnie starej rybackiej łodzi. Niestety nic ponad na wskroś realistyczne brzmienie nie docierało do mych uszu. Zero spowodowanej niezbyt wysokiej jakości nieoczyszczonego prądu szklistości, żadnych niepokojących artefaktów, czy zmatowienia. Jedynie charakteryzujące się ponadprzeciętną ekspresją utwory nad wyraz dobitnie udowadniające, że całe piękno leży w prawdzie a nie w sztucznie wykreowanej, przypudrowanej i „poprawionej” iluzji.

Podobnie było ze zdecydowanie bardziej agresywnym repertuarem. Progresywno-thrashowe poczynania Propagandhi („Failed States”), czy rozpoczynający się liryczną partią fortepianu w „Submission for Liberty” równie ciężki album „Submission for Liberty” australijskiej formacji 4ARM nie pozostawił złudzeń na chociażby cień szansy na odnalezienie tak przypisywanego wszelakiej maści rozgałęziaczom zamulenia. W dodatku zamiast jak to się zwykło uważać nawet tak „prymitywny” repertuar nie został niejako z marszu wykluczony. Furutech zamiast zdyskredytować długowłosych, wydzierganych szarpidrutów i uznać ich za niegodnych ukazał z najwyższą dbałością o co tak naprawdę w thrashu chodzi i gdzie należy doszukiwać się ukrytego w nim piękna. Oczywiście piękna dedykowanego określonej grupie odbiorców. Pure Power był w moim systemie tym, czym w TV rewelacyjna seria popularnonaukowych programów „Time Warp”, w której w jednym z odcinków wzięto na warsztat Metallicę serwując dinozaurom metalu sesję z użyciem kamer rejestrujących 10 000 klatek na sekundę. Krótko mówiąc było lepiej, wyraźniej i ze zdecydowanie większym realizmem niż kiedykolwiek do tej pory.

Kiedy wreszcie dałem za wygraną i zacząłem delektować się z osiągniętym status quo - czyli, że po prostu Furutech jest nie tyle krokiem, co skokiem, susem w kierunku, w którym chciałbym w swoich audiofilskich poszukiwaniach podążać, usiadłem do przelania na papier własnych spostrzeżeń mających stanowić zarys przyszłej recenzji. Miałem jednak jeden, za to nader poważny problem – jak opisać pustkę i żal, jaki miał po

sobie zostawić tytułowy bohater. Do tematu można było podejść na spokojnie i zastosować próbę swoistego, wewnętrznego dialogu, niczym Joe Gideon w „All That Jazz”, by koniec końców pogodzić się z nieuchronną koniecznością zwrotu. I proszę mi wierzyć na słowo – taki właśnie miałem zamiar, solenne postanowienie. Jednak po tym jak zjawił się u mnie Jacek i wziął Furutecha na testy do siebie mój cały misterny plan legł w gruzach niczym domek z kart. Nie było innego wyjścia, jak uderzyć w patos i parafrazować Mistrza Jana Kochanowskiego a tym samym narazić się na kalumnie kablosceptyków profanując słowa „Trenu VIII”:

„Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim,
Moja droga Listwo, tym zniknięciem swoim!”

Jakby tego nie próbować opisać i tak wyjdzie bez odpowiedniego tragizmu, bez adekwatnego ładunku emocjonalnego, ot kolejny wywód obłąkanego audiofila, któremu wydawało się, że coś usłyszał.

Na koniec mam zatem do Państwa gorącą prośbę – jeśli nie planujecie zakupu Furutecha Pure Power 6 nie myślcie o nim i pod żadnym pozorem nie wypożyczajcie na odsłuch. Wypięcie go z systemu można porównać z przytrzaśnięciem sobie palców samochodowymi drzwiczkami. Teraz już wiem, czemu producent na swojej stronie internetowej nie zamieścił nawet zdjęcia FPP6, a wśród pozbawionych filtracji listew na samiuteńkim dole podana jest jedynie nazwa. Sentencja „I nie wódz nas na pokuszenie...” nabiera w tym momencie zdecydowanie realnego wymiaru.

Marcin Olszewski

Dystrybucja: [RCM](#)

Cena: 36 900 PLN

Dane techniczne:

Korpus: wyfrezowany na obrabiarkach CNC blok aluminium lotniczego

Gniazdo zasilające: 15A IEC

Zastosowane procesy technologiczne: Wszystkie metalowe elementy poddano procesom kriogenicznym i demagnetyzującym

Uziemienie: do obudowy

Gniazda wejściowe: 6 szt. rodowanych Schuko FI-E30 (R)

Okablowanie wewnętrzne: 3 wiązki przewodów o zróżnicowanym przekroju wykonanych z izolowanej PTFE posrebrzanej wysokiej czystości miedzi Alpha-OFC

Wymiary: 250mm x 250mm x 95mm

Waga: 10kg

System wykorzystany podczas testu:

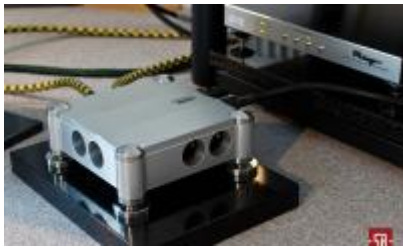
- CD/DAC: Ayon 1sc
- Selektor źródeł cyfrowych: Audio Authority 1177
- Odtwarzacz plików: Olive O2M; laptop Dell Inspiron 1764 + JRiver Media Center
- Gramofon: dwusilnikowy Transrotor ZET 3 + 12"SME + Transrotor MC Merlo Reference + zasilacz Transrotor Konstant M-1 Reference
- Przedwzmacniacz gramofonowy: RCM Audio Sensor Prelude IC
- Wzmacniacz zintegrowany: Electrocompaniet ECI 5
- Przedwzmacniacz: Jeff Rowland Corus
- Końcówka mocy: Jeff Rowland 625
- Kolumny: Gauder Akustik Arcona 80 + spike extenders; EgglestonWorks Fontaine Signature
- IC RCA: Antipodes Audio Katipo
- IC XLR: LessLoss Anchorwave; Organic Audio

- IC cyfrowe: Fadel art DigiLitz; Harmonic Technology Cyberlink Copper; Apogee Wyde Eye; Monster Cable Interlink LightSpeed 200
- Kable USB: Wireworld Starlight; Goldenote Firenze Silver
- Kable głośnikowe: Organic Audio; Signal Projects Hydra
- Kable zasilające: Furutech FP-3TS762 / FI-28R / FI-E38R; Organic Audio Power
- Listwa: GigaWatt PF-2 + przewód LC-2mk2; Furutech Pure Power 6
- Stolik: Rogoz Audio 4SM3
- Przewody ethernet: Neyton CAT7+
- Akcesoria: Sevenrods Dust-caps; Furutech CF-080 Damping Ring; HighEndNovum PMR Premium; Albat Revolution Loudspeaker Chips; Acoustic Revive RAF-48H

Opinia 2

Marka Furutech znana jest chyba wszystkim, którzy choć trochę interesują się jakością odtwarzania dźwięku. W swojej ofercie posiada gigantyczną listę produktów związanych z okablowaniem systemów i akcesoriami do konfekcji tegoż okablowania, ale może pochwalić się także kilkoma skomplikowanymi urządzeniami wspomagającymi melomanów jak: prostownica płyt winylowych, demagnetyzer do wspomnianych czarnych krążków czy jonizator komponentów audio. Dla audiofila to raj akcesoryjny, a dla sceptyka mekka wyzyskiwania naiwnych złotouchych adeptów nigdy niekończącej się gonitwy za króliczkiem. Inaczej mówiąc, proponowana różnorodność towaru w magazynie, jest całkowicie zbędna i nazywana strefą gadżetów audio-vooodoo, mająca za cel oskubać biednych klientów z nadmiaru posiadanej gotówki. Ja wielokrotnie przekonawszy się o występowaniu różnic w brzmieniu po zmianie modeli okablowania, nie forsuję przedwcześnie wniosków i jeśli tylko nadarza się okazja, chętnie wpinam coś kontrowersyjnego w swój tor audio. Jak do tej pory nie miałem problemów z wyłapaniem zachodzących zmian, a że raz były to pożądane, a innym razem niechciane ingerencje, tym bardziej jawiły się jako potwierdzenie słuszności obfitej oferty takich producentów. W swojej dotychczasowej zabawie z dodatkami mającymi zbliżyć mnie do wyimaginowanego w moim mózgu ideału dźwięku (oddanie żywej muzyki od dawna uważana jest za utopię), przetestowałem kilka listew, kondycjonerów, pasywnych filtrów zasilających i jeszcze ani razu taka próba zasilenia mojego sprzętu, nie wypadła nawet neutralnie, tylko zwykle w lekkim stopniu, ale jednak degradowała brzmienie. Najbardziej cierpiała końcówka mocy, którą producent mojej marki każe wpinać bezpośrednio do ściany, mimo posiadania dedykowanego regeneratora prądu w swojej ofercie. Jak do tej pory jego słowa przeciw buńczucznym zapowiedziom różnorodnych konstruktorów okazywały się jedyną słuszną drogą do osiągnięcia brzmieniowej nirwany. Tymczasem, tuż przed ostatnią warszawską wystawą Audio Show do oferty katowickiego RCM-u dołączyła „listwa”, która według zapewnień dystrybutora, miała obalić pielęgnowany przeze mnie mit o negatywnym wpływie wszystkich takich wynalazków na mój zestaw. Trochę czasu minęło, ale w końcu nastął czas zderzenia się prawdy głoszonej z prawdą realnej konfrontacji i w moje skromne progi dumnie wkroczyła, nietypowo wyglądająca (kształt kwadratu) listwa sieciowa, z pod szyldu japońskiego Furutecha o handlowej nazwie PURE POWER 6.





PURE POWER 6 to dziesięciokilogramowy puc aluminium lotniczego, w kształcie postawionego na czterech słupach zakończonych kolcami i stojącym na dedykowanych podkładkach kwadratu. Górna płaszczyzna dla przełamania monotonii wzorniczej, została uformowana w coś na kształt fal, gdzie na środkowej „fałdzie” w prostokątnym podfrezowaniu umieszczono logo producenta. Patrząc na bryłę konstrukcji, ciężko oprzeć się pozytywnemu, na wskroś nowoczesnemu w odbiorze, ale wysublimowanemu pomysłowi wzorniczemu, dzięki któremu znajdzie miejsce nawet w najbardziej wyrafinowanym towarzystwie. Nowoczesność i piękno mogące współgrać z prawie każdą stylistyką, na pewno przysporzy Furutechowi wielu potencjalnych klientów. Jedynym drobnym mankamentem dla posiadaczy małych pomieszczeń odsłuchowych, może okazać się sposób rozmieszczenia gniazd sieciowych. Z uwagi na kształt czworoboku przyłącza rozchodzą się w czterech poziomych kierunkach (rozeta), co pociąga za sobą, przymus wygospodarowania sporej ilości wolnego miejsca. Ale czego nie robi się dla spełnienia marzeń o lepszym brzmieniu, tym bardziej jeśli przełknijemy lekko szokującą cenę tej wariacji na temat listwy sieciowej, o której by nie zniechęcić do dalszego czytania wspomnę na końcu opowieści. Cena jest pojęciem względnym i można wybrzydząć lub się śmiać, ale jeśli ktokolwiek dłuższy czas poszukiwał sposobu bezstratnego rozdziału energii do swoich komponentów i po kilkukrotnym rozczarowaniu wpina je do właśnie testowanego „rozgałęziacza”, zapomina o temacie. Natrafiając na coś idealnie wpasowującego się w system (czytaj nieszkodzącego), na pewno z dużą powagą rozważy zakup, zamykającego dalsze poszukiwania „ustrojstwa”. Oczywiście zakładam, że klient który weźmie gadżet Furutecha do domu, jest przygotowany emocjonalnie i finansowo do tej konfrontacji. Z recenzenckiego obowiązku dodam, iż owa listwa obok zasilającego ją gniazda, ma dodatkową zewnętrzną śrubę uziemienia, a ilość obsługiwanych przez nią terminali sieciowych, to standardowe sześć gniazdek. Niestety w komplecie nie dostajemy kabla zasilającego, który musimy dokupić. Próbując nie zważać na porażającą zwykłego Kowalskiego ilość zer na metce, postanowiłem przejść do najważniejszego punktu tego spotkania i wpiąłem bohaterkę testu w swoją, jak dotąd pokazującą wszystkim takim wynalazkom gdzie ich miejsce końcówkę mocy. Z jednej strony liczyłem na zadowalające rezultaty, a z drugiej po tylu porażkach, nie chciało mi się wierzyć, że może być inaczej. I z nastawieniem: „i chciałbym i boję się” zasiadłem do analizy skutków

nakarmienia mojej chimerycznej końcówki KAP-777, życiodajnym prądem przydzielonym przez produkt dystrybuowany przez katowicki RCM.

Postaram się bez specjalnej ekwilibrystyki (to jest przecież ładnie opakowana zwykła złodziejka) przekazać nachodzące mnie w czasie testu myśli i zaistniałe reakcje. Nawet teraz po kilku dniach pamiętam moment podpinania moich urządzeń do dostarczonej do testu listwy. Z szyderczym uśmiechem na twarzy czekałem na kolejną spektakularną porażkę tego aluminiowego, stojącego na czterech kolumnach sarkofagu. Inna sprawa, że jeśli dostałbym takie cudo w prezencie od żony i nawet nie sprawdziło się w działaniu, spokojnie zdołałoby mój zestaw do odtwarzania muzyki – tak umiejętnie przyciąga wzrok. Ale przecież nie dla patrzenia kupujemy „trójniki” i w skupieniu zagłębiłem się w mogące wystąpić straty natury jakościowej odtwarzanego dźwięku. Kilka taktów znanych i dobrze zrealizowanych utworów, zburzyło moje dotychczasowe postrzeganie w tej materii. Szybko przepięłem się do ściany i ... nie wierzę. Z powrotem do listwy i ... to niemożliwe. Znowu do ściany... to samo. Efekt? Nareszcie znalazłem rozwiązanie moich problemów z ze zbyt małą ilością gniazd zasilających. Co prawda biorąc pod uwagę ważny element decyzji zakupowej, jakim jest „price”, sprawa wyjaśniła się na razie w świecie wirtualnym, ale zauważyłem światelko w tunelu dla potencjalnej grupy docelowej, gdzie najprostszy kabel zasilający oscyluje w okolicach samochodu średniej klasy. A proszę mi uwierzyć, takich klientów jest sporo w naszym kraju i to do nich kierowany jest ten dział oferty japońskiego Furutecha. Nikt nikomu nie wciska nic na siłę, tylko w przypadku odniesienia serii porażek dźwiękowych po mariażach z różnymi kondycjonerami i innymi temu podobnymi ustrojstwami, proponuje swój sposób na niedegradującą reglamentację zasobów energii elektrycznej dla każdego podpiętego urządzenia. Nie wiem jak oni to robią, w materiałach dystrybutora jest tylko informacja o zastosowaniu filtrów pasywnych, ale efekt przeskoczył moje najśmielsze oczekiwania. Teoretycznie taki rozdzielacz prądu powinien być przezroczysty, ale takiego jeszcze nie spotkałem i bohaterka tego tekstu też ma swoje „trzy grosze” do powiedzenia. Czy będzie to dobrze czy źle postrzegane zależy od nastawienia klienta, jednak moje wnioski raczej kierują się w stronę pozytywnych odczuć, a dlatego postaram się w miarę jasno opisać. Jak dotąd wszystkie takie propozycje ograniczały swobodę na górze pasma, przy jednoczesnym zaokrągleniu dolnych częstotliwości. Dźwięk stawał się cieplejszy i w wielu przypadkach mogło to nieść spore zalety, ale w wartościach bezwzględnych odczuwałem lekkie ograniczenie zwiewności dobiegającej z kolumn muzyki. Jawiło się to jako mniejsza lub większa mgiełka, która na niższych pułapach cenowych docelowych zestawów audio może być niezauważalna, ale u mnie była mocno odczuwalna. Tym razem produkt Japończyków stanął na wysokości zadania i jeśli miałbym się doszukać „szkodliwej” ingerencji, to może na siłę wymieniłbym jakiegokolwiek grzebanie w finałowym efekcie obróbki materiału źródłowego. Dla wielu listwa ma być drutem i niczym więcej. Tymczasem PURE POWER 6 zwiększa rozdzielczość dobiegających ze sceny sygnałów. Nie poprzez zmianę tonacji- tego nawet nie muska i barwa jest identyczna jak przy zasilaniu z gniazdka, tylko zwiększeniu ilości informacji, co powoduje efekt napowietrzenia i doświetlenia wirtualnej sceny. Czytelniejsze, nie popadające w sztuczność blachy (przypominam, że to jest mój konik), bardziej otwarty środek pasma i zwiększająca kontur kontrola dołu (w pierwszym momencie odczuwamy go jakby mniej, ale zgłębiając się dokładniej zauważamy, że to pochodna większej czytelności) , przewartościowuje postrzeganie tego typu propozycji. Nie wiem czy to się wszystkim spodoba (jakakolwiek ingerencja), jednak po wielu niespecjalnie zadowolających próbach, podobne czary są miłym dla ucha dodatkiem. Oczywiście proszę o zdroworozsądkowe pozycjonowanie opisanych efektów i nie kwalifikować ich jak wymiana wzmacniacza z półki 1000 zł na 30000 zł, ponieważ na szczeblach stratosfery cenowej zmiany powodujące przysłowiowy opad szczęki, często świadczą o ułomności jednego z elementów, a nie jakości tego drugiego. Niemniej jednak z całą odpowiedzialnością stwierdzam, iż japoński „rozgałęziacz” robi więcej dobrego niż złego (jeśli zwiększenie rozdzielczości to zło) i z

utęsknieniem będę czekał na ofertę konkurencji w tym ważnym dziale dla urządzeń audio.

Przygoda z japońską listwą sieciową PURE POWER 6, pozwoliła mi zweryfikować dotychczasowe poglądy na takie zabawki. Jak do tej pory jest pierwszym nieograniczającym mój system elementem, który niejako w bonusie dostarcza kilka pozytywnych zmian w dźwięku zasilanego zastawu. Czy to się komuś spodoba czy nie, należy samemu skonfrontować w wypożyczając ją na testy, ale jedno jest pewne, nawet w najmniejszym stopniu nie zauważyłem zmniejszenia dynamiki czy uśredniania przekazu, a to przy posiadającej 1 kilowatowy transformator końcówce mocy jest sztuką. Wszystkim audiofilom, których cena nie zetnie z nóg, polecam do zapoznania się z jej możliwościami zaopatrzenia w prąd naszych pieczołowicie składanych systemów.

Ps. Jako potwierdzenie „audio voodoo” jakie odczynia ten japoński „trójnik,, opiszę zaistniałą tuż przed oddaniem listwy Marcinowi autentyczną sytuację. Z uwagi na przebiegający w podobnym terminie test gramofonu za ca. 100 kz (już niedługo ukaże się na naszych łamach), zaprosiłem znajomego, który ze swoim setem oscyluje na podobnych do moich pułapach cenowych, by pokazać niesamowitą rozdzielczość i konturowość jak na format analogowy, przy zachowaniu wszystkich jego zalet jakimi są gładkość i barwa. Gdy zasiadł w fotelu odsłuchowym zapytał o stojący przed moim zestawem aluminiowy sarkofag tytułowego Furutecha. Kilka zdań co to jest i pada cena... Wiadomo, jako rozsądny człowiek słysząc układający się w chorą kwotę ciąg cyferek, skwitował temat szybkim: „to nie ma sensu, nie wydałbym takiej kasy na listwę”. Przyznałem mu rację, gdyż zareagowałem podobnie. Ale dał się namówić na wpięcie tego japońskiego szarlatana i już od pierwszych taktów ruchem rąk pokazał co stało się ze sceną dźwiękową. Nie nalegałem na relację i zaproponowałem dyskusję po odłączeniu mojej elektroniki od tego ustrojstwa. Pograliśmy tak z godzinkę i po wypięciu PURE POWER’a, spojrzałem w stronę kolegi, który znów zrobił czytelny ruch ręką, tylko w odwrotnym kierunku. Z uwagi na fakt mojej wcześniejszej kilkudniowej zabawy z tym produktem, po podobnej pierwszej reakcji na cenę jak gość, musiałem zrewidować swój pogląd. Analiza wszystkich aspektów tj.: czego nie psuje, co dodaje i jak to się ma cenowo do posiadanego zestawienia, pozwoliła przychylić się ku zakupowi z wolnych mocy pieniężnych. Znajomy bez zdecydowania zapytał czy da radę posłuchać u siebie i wstępnie umówiliśmy się na telefon, czy naprawdę ma chęć. Z całego tego akapitu najlepsze jest właśnie fakt powiadomienia mnie już o 7.30, że to był bardzo spektakularny pokaz. A dodam, że sporo ciekawych rzeczy w życiu słyszał i kosmetyka w działaniach wszelkich dodatków raczej Jego nie interesuje. Nie wiem czy to kogoś przekona, czy nie, ale jeśli kwota za listwę Furutecha (36900 zł) nie będzie wymagać oddania nerki i na własne uszy chce przekonać się jak wypada włączenie jej w swój tor, niech skontaktuje się z katowickim RCM-em. Ale ostrzegam, może już tam nie wrócić.

Jacek Pazio

System wykorzystywany w teście, to kompletny zestaw firmy Combak Corporation

Elektronika Reimyo:

- dzielony odtwarzacz Cd: CDT – 777 + DAP – 999 EX

- przedwzmacniacz lampowy: CAT – 777 MK II

- tranzystorowa końcówka mocy: KAP – 777

Kolumny: Bravo Consequence+

Kable zasilające: Harmonix X-DC 350M2R Improved Version

Kable głośnikowe: Harmonix HS 101-EXQ (sekcja średnio-wysokotonowa), Harmonix HS 101-SLC (sekcja niskotonowa)

IC RCA: Harmonix HS 101-GP

IC cyfrowy: Harmonix HS 102

Stolik: Rogoz Audio

Akcesoria:

- antywibracyjne: stopy pod końcówkę mocy Harmonix TU 505EX, platforma antywibracyjna Acoustic Revive RST-38H
- zasilające: Harmonix AC Enacom Improved for 100-240V
- akustyczne: Harmonix Room Tuning Mini Disk RFA-80i

Tor analogowy:

- gramofon:

napęd: Dr. Feickert Analogue „Twin”

ramię: SME V

wkładka: Dynavector XX-2 MKII

- drugi gramofon:

napęd z ramieniem: Thales TTT Compact + Siplicity

wkładka: Kuzma CAR-30

- przedwzmacniacz gramofonowy RCM „THERIAA”

<http://soundrebels.com/artykuly/recenzje/item/272-furutech-pure-power-6>